kuźnica

miesięcznik poświęcony zagadnieniom współczesności i śląska

Rok I. Grudzień 1935 Nr 10

TREŚĆ:

ALEKSANDER MODES

Ludzie mocni czy karły?

Kryzys, który obecnie przeżywamy, jako załamanie się dotychczasowych, uświęconych form gospodarki kapitalistycznej, właściwej dla 19 wieku, jest w znacznym stopniu również wynikiem ogromnego spustoszenia moralnego, jakie obserwujemy po Wielkiej Wojnie. Daje się powszechnie odczuwać jakaś dziwnie duszna atmosfera, w której ludzie rozproszeni, rozdwojeni, kierują swe wysiłki i dążenia w znacznej mierze jedynie ku zabezpieczeniu podstaw swego bytu materjalnego i o niczem innem więcej słyszeć nie chcą.

Ofiarowywanie swej pracy dla tej czy innej organizacji odbywa się w myśl zabezpieczenia się na wszelki wypadek i stąd tak dużo znajdujemy elementów nieideowych w najbardziej znanych organizacjach. Wyjątkowo tylko udział jednostki w życiu organizacyjnem wynika z najistotniejszych jej potrzeb ideowych.

Trzeba przyznać, że spustoszenie, wyrażające się tak dosadnie w małej podaży bezinteresownej pracy i niekalkulowanego wysiłku, nie ominęło szeregów młodzieży polskiej. Jestto w wielkiej mierze zasługą starszego pokolenia, które poza innemi zdolnościami wykazało szczególnie wybitne uzdolnienia na polu zdemoralizowania jej szeregów. Rezultaty, jak obfity plon, zbieramy w 17 rocznicę odrodzonego Państwa.

Cierpimy na brak silnych i mocnych charakterów w życiu organizacyjnem, w którem brak wysoko ideowo i moralnie postawionych kierowników. Kryzys naszego życia organizacyjnego leży w znacznej mierze na tej płaszczyźnie. Z drugiej strony daje się odczuwać brak dobrego materjału. Trudno człowieka poruszyć i wyrwać z apatji, w której żyje. Brak wiary w możliwość jakiejkolwiek poprawy skutecznie załamał celowość zbiorowego, zorganizowanego wysiłku człowieka.

Niedomagania te wyrastają także głęboko ze zdecydowanie ujemnych cech charakteru polskiego, które należy wykorzeniać i zwalczać ze wszystkich sił woli:

Brak niezłomnej wiary w skuteczność systematycznego, codziennego wysiłku, budowania z dnia na dzień wśród powszechnej niewiary i zwątpienia. My łatwo skupiamy się pod sztandarami wtedy, gdy one zwycięskie,łopocą w powietrzu, dźwignięte najwyższym trudem prawdziwie pionierskiej pracy! I wtedy zlatują się zewsząd ludzie-entuzjaści, którzy w trudzie dnia codziennego nie brali udziału lub co gorsza, którzy w zwycięstwo nie wierzyli.

Polskie życie organizacyjne rozmienia się na drobne wysiłki tysięcznych grup i grupek, które spełniają równolegle nieraz te same cele i zadania. Poważniejsze zaś organizacje społeczne, te, które mają „monopol" na wychowanie obywatelskie cierpią na następujące wspólne choroby: a) brak wspólnej, jasnej, wyrazistej ideologji, wspólnej a głębokiej wiary w te czy inne stałe wartości. Brak ten wypływa ze słabego uświadomienia sobie celów, do jakich się dąży.

Na tem tle uwydatnia się z całą plastycznością bezskuteczność „tworzenia" organizacyj dla tych czy innych doraźnych celów. Zdrowe, przyszłościowe ruchy wyrastają jedynie na gruncie najistotniejszych potrzeb społecznych, rodzą się i rozrastają z najgłębszych przeżyć człowieka, które muszą być uszanowane, jeśli nie żądają dla siebie doraźnych efektów i korzyści. b) Brak mocnych charakterów, ludzi bezkompromisowych, gotowych poświęcić w każdej chwili swe najistotniejsze dążenia osobiste dla „sprawy", w którą wierzą. **Gotowość oddania się sprawie to niezniszczalna moc wewnętrzna człowieka, to wyższy poziom życia,** opromienionego jakimś „sensem", jakimś doznaniami, czy wzruszeniami.

Dzieje się to naskutek dwóch okoliczności:

a) stałego dopływu materjału wartościowego,

b) okoliczności, że praca organizacyjna nie dba w rzeczywistości o wychowanie mocnych ludzi. Jestto przeważnie robota bez celu. Nie chodzi w niej o wyrobienie typu człowieka, a raczej o kultywowanie miękkich mieszczańskich ideałów.

Niedomagania te są dziś zrozumiałe wobec braku jasno określonego celu pozytywnego, któryby oświetlał jedyną drogę, po której mamy iść ku Polsce dobrze i sprawiedliwie zorganizowanej.

Dla ludzi żywotnych jest to uświadomienie sobie celu, do którego dążą, niezbędną potrzebą, inaczej udusićby się chyba było trzeba w tym zaduchu polskiego życia społecznego. Cel ten, to zejść się w największej gromadzie na jedyną drogę, która prowadzi do Polski silnej, to zbiórka pod wysoko wzniesionemi sztandarami najwyższej moralności życia, która jedynie potrafi społeczeństwo porwać nawet do większych ofiar, niż te, które teraz ustawicznie ponosi. Każde pokolenie jest zdolne do najwyższych ofiar, byleby to, co się dzieje, działo się w imię „czegoś". Musi powstać powszechne przekonanie, że ofiary, które się ponosi, nie pójdą na marne i nie będą bezskuteczne. My jesteśmy chorzy na brak jasnej i określonej myśli politycznej, realizowanej konsekwentnie.

ANDRZEJ MICHNA

Żydzi a spółdzielczość

Artykuł niniejszy dajemy jako dyskusyjny. Pragniemy wywołać zdrowe głosy, które w tej tak istotnej dziedzinie życia gospodarczego, mogą oświetlić zagadnienie, które tyle niezdrowej wzbudza w nas emocji. Organizować spółdzielczość to zdaniem autora jedyna droga, prowadząca do celu. Czekamy na inne rozsądne głosy w tej sprawie. Redakcja z wielu poglądami Autora nie zgadza się.

Redakcja.

Zagadnienie żydowskie nie jest nowe, jak nie jest nowym „stary testament". W ciągu wieków różne narody w różnorodny sposób reagowały na kwestję żydowską i mimo stosowania całej gamy „najdobitniejszego" nacisku zagadnienia tego nie rozwiązały.

W ostatnich latach przybrało zagadnienie to w znacznym stopniu na aktualności przez wysunięcie zasad rasowości w Rzeszy Niemieckiej. Odżyły wszystkie cienie antysemityzmu, nawołując narody do walki z żydostwem. Odżyły one i u nas w Polsce i w coraz szerszym zakresie zaprzątają umysły mas.

Przyczyny antysemityzmu są bardzo różnorodne. Dla przeciętnego Europejczyka postać niechlujnego po większej części żyda z brodą, pejsami, chałatem, otoczona specjalnym konglomeratem nieprzyjemnych i ostrych wyziewów, zachowująca się głośno i aro-

gancko, posługująca się straszliwym dla ucha językiem, budzi elementarną odrazę i nieufność. Tę nieufność potęguje jeszcze spryt, bądź co bądź nieprzeciętny, który pozwala żydowi oszukać każdego poczciwca, no i zupełny niemal brak sumienia w potocznem tego słowa znaczeniu.

Jednak dla narodu jako całości, a raczej dla emanacji narodu, dla państwa, antysemityzm zbiorowy posiada jeszcze daleko głębsze podłoże. Otóż przekrój społeczny państwa składa się z pewnej procentualnej ilości rolników, robotników, rękodzielników, kupców, sfer posiadających i inteligencji. Organizm państwowy jest dotąd zdrowy, dopóki pewna dla przekroju społecznego aktualna równowaga nie ulegnie zwichnięciu i — co jest najbardziej pożądanem — dopóki wszystkie te stany są związane wspólnemi ideałami narodowemi i państwowotwórczemi. Zdaje mi się, że żadne z ważniejszych państw świata — z wyjątkiem może Japonji — nie jest w tem szczęśliwem położeniu, ale najgorzej pod tym względem wygląda Polska.

Polska nietylko nie posiada równowagi pomiędzy „stanami", ale stanowiska, że tak powiem, gatunkowo najcięższe w hierarchji socjalnej nie są po większej części w ręku Polaków. Tym obcym dominującym elementem w naszej spólnocie państwowej to przeważnie żydzi. Należy się wobec tego zapytać, gdzie szukać przyczyny tej supremacji żydowskiej.

Powiedziała mi raz jedna wykształcona żydówka: „Poco Wy szukacie przyczyn ubocznych, jeżeli chodzi o naszą supremację na pewnych odcinkach życia? Przyczyna jest bardzo prosta: Myśmy umieli wszyscy czytać, kiedy Wyście jeszcze niemal na czworakach chodzili, kiedy Wy jeszcze obecnie macie około 5.000.000 analfabetów." Wydaje mi się, że to jest może najtrafniejszy argument, uzasadniający supremację żydowską. Żydzi przez cały ciąg historji, do najnowszych czasów włącznie, posiadają w porównaniu z ludami z nimi współżyjącemi największy procent inteligencji i najniższy analfabetów.

Do tego dochodzi oczywiście jeszcze cały szereg innych czynników, które w całości tworzą okaz „żyda niepożądanego", a więc całkowite usunięcie żydów od pewnej kategorji zajęć, począwszy od wczesnego średniowiecza aż do czasów niemal nowoczesnych, niechęć narodów chrześcijańskich do handlu i do kupca nieżyda itp.

Nasz organizm państwowy cierpi podwójnie z powodu żydów: Po pierwsze jest ich za dużo, tak, że nadawają swoim wyglądem charakterystyczną cechę naszym zwłaszcza wschodnim miastom. Po drugie opanowali oni niemal wyłącznie pośrednictwo pomiędzy producentem i konsumentem oraz w bardzo znacznym stopniu niektóre zawody wolne.

W niniejszym artykule ograniczę się tylko do zagadnienia żydowskiego pośrednictwa. Nie będę gromadził materjału statystycznego ani nie chcę szeroko udawadniać supremacji żydów w tej dziedzinie, bo wiemy o tem wszyscy. Dosyć powiedzieć, że niemal cały handel ziemiopłodami, żelazem i wyrobami tekstylnemi siedzi w kieszeni żydowskiej.

W naszym skądinąd bardzo ciekawym aparacie gospodarczym istnieje cały szereg bardzo nieciekawych objawów. Wiadomo chociażby z ciągłych enuncjacyj naszych mężów stanu, że dla podniesienia naszej gospodarki państwowej musi być zwiększona pojemność wsi, że dlatego trzeba zmniejszyć „nożyce cen", że dopiero wówczas dojdziemy do zdrowej wewnętrznej kapitalizacji itd.

Otóż temu postulatowi stoją na przeszkodzie obce zorganizowane kapitały, inwestowane w naszych warsztatach pracy i obce narodowo i niesolidne pośrednictwo. Wystarczy stwierdzić, że ostatnia dla chłopa tak pożądana zwyżka cen artykułów rolniczych wcale nie dotarła w 100 proc. do wsi, tylko w swej dalekiej drodze do producenta „rozlazła" się po „kościach" pośrednika. Wystarczy dorzucić, że np. polityka interwencji zbożowej ministerstwa rolnictwa wzięła w łeb, ponieważ pośrednik zawsze o pięć minut był prędzej na placu niż sama interwencja i swemi sprytnemi pociągnięciami przefasonował kosztowną interwencję na czysty zysk dla siebie z wykiwaniem wsi i — ministerstwa. Zaryzykować więc można twierdzenie, że drogie pośrednictwo nie zezwala na równanie cen wiejskich w górę, a w dużej mierze przeszkadza w równaniu cen miejskich w dół.

To też jedyna kategorja obywateli państwa — prócz kilku grubych ryb z przemysłu —, która przeprowadza kapitalizację, to pośrednicy, — żydzi. Jednak jest to kapitalizacja niepożądana, chyba jeśli służy do stworzenia kapitałów obrotowych, ponieważ gros zarobionego na polskiej „bryndzy" grosza przecieka w obce stawy, z których część poniekąd wprawdzie wraca do kraju, ale już w postaci drogiej, niejednokrotnie bardzo, pożyczki zagranicznej.

Jednak nietylko z tytułu zupełnej niemal supremacji w pośrednictwie i związanego z tym stanem rzeczy łatwego i społecznie niepożądanego zarobku żyd jest szkodliwy. W handlu już tak jest, że zarobić trzeba tyle, ile się da, oczywiście mówię tu o handlu prywatnym. Ale wśród większej części handlowców obowiązuje poza możliwościami konjunkturalnemi zasada uczciwości. U żyda jednak brak tego pojęcia niemal w zupełności. Wystarczy zajrzeć do Instytutu Badania Żywności, aby się przekonać o jakości towarów, zaofiarowanych klienteli przez żydów w swoich sklepikach. Niema poprostu towaru, którego nie możnaby w jakiś sposób podrobić. Przytoczę, aby mnie nie posądzono o gołosłowność, taki sobie wypadek z własnego zakresu działania: W sklepiku żydowskim handluje się pieprzem mielonym. Przy analizie stwierdza dany urzędnik, że w tym „nibypieprzu" jest tylko około 25 proc. prawdziwego pieprzu, że zaś reszta to zmielony stary suchy

chleb, który, jak później stwierdzono, wyszedł prosto z dziadowskiej torby.

Pozatem oczywiście redukuje żyd swoje koszty handlowe poniżej jakiegokolwiekbądź minimum. Dzierżawi wyłącznie małe mizerne sklepiki, w których jedynie pod ciągłą groźbą kar administracyjnych utrzymuje jaki taki porządek, w których razem z rodziną obsługuje klienta, nie opłacając żadnych sił ubocznych, i gdzie nawet wbrew przepisom policyjno-sanitarnym sypia. Nie mówię tutaj o machinacjach podatkowych.

Reasumując więc uwagi o żydowskim handlu detalicznym, taki oto widzimy obraz: towar nie jest pełnowartościowy, lokale zato i obsługa są niżej krytyki, warunki higjeniczne bardzo pierwotne, a stosunek do władz skarbowych jest oparty na zasadzie: „Sauve qui peut". To też nie dziwotą, że na Śląsku w dzielnicach, dotkniętych bardziej boleśnie klęską bezrobocia, zamykają chrześcijańscy sklepikarze jeden po drugim swoje składy, a w ich miejsce otwierają swe placówki żydzi.

Jasną jest zatem rzeczą, że trzeba szukać wyjścia z tej dla nas tak uciążliwej sytuacji. I znaleźli się prorocy, którzy się z tem zagadnieniem poniekąd na bardzo krótkiem toporzysku załatwili. Do nich należą u nas młodzi endecy, a zagranicą Hitler. Nie ulega żadnej wątpliwości, że stosowanie jakiegokolwiekbądź gwałtu na żydach nie doprowadzi do celu. Żadne pałkowanie, żadne odejmowanie jemu praw obywatelskich, ani próby wyjałowienia wyniku dać nie mogą. Żydzi przeżyli za Faraonów, za Tytusa, w średniowieczu gorsze czasy i najwyszukańsze katusze. Oni się takich sobie codziennych poniewierań nie zlekną, ich obywatelstwo takie, czy inne mało co obchodzi,. kiedy dla nich właśnie brak określonego obywatelstwa jest stanem wymarzonym, byle im tylko pozwolić robić interesy. My zaś Polacy wiemy z historji, że za obcinanie bród żydowskich i pejsów utraciliśmy cały szereg dogodnych pozycyj wyjściowych w czasie startu do naszych granic, zwłaszcza zachodnich.

To też nie wolno nam iść drogą, wybraną przez Hitlera. Widzimy już dziś, jak pod obuchem międzynarodowej potęgi żydowskiej Niemiec się wycofuje, bo inaczej będzie musiał likwidować obecny system rządzenia. A przecież kwestja żydowska w Niemczech bynajmniej nie jest taka drażliwa jak u nas, gdzie koncentruje się największe skupienie żydów na świecie. My sobie na taki eksperyment wogóle pozwolić nie możemy. Do takich wcale nieproduktywnych, a raczej grubo dziecinnych środków walki należą wszelkie malowidła na ścianach i szyldach, wybijanie szyb, słowne obrazy żydów itd.

Nawet zupełna etatyzacja życia gospodarczego usunie tylko jeden objaw w ogólnem zagadnieniu żydowskiem, bo zniesie tylko supremację żydowskiego kapitału i pośrednictwa, ale odda — o ile pójdzie śladami ultratolerancyjnych Sowietów — nieproporcjonalnie wielki procent stanowisk kierujących w ręce żydowskie.

Jest jedyne wyjście z tej sytuacji. Żyd musi się stać — sit venia verbo — pożytecznym członkiem społeczeństwa, to znaczy musi wejść w skład wszystkich warstw społecznych w procentualnym do swej liczebności stosunku, musi przestać wieść żywot pasożyta na wycieńczonem ciele Polski. W tym celu trzeba jemu w pierwszym rzędzie popsuć szyki na jego dotychczasowej płaszczyźnie życiowej, trzeba jemu odebrać przywilej pośrednictwa. A dopiąć tego może tylko spółdzielczość, jak tego uczy przykład Malopolskiej Wschodniej.

Tamtejsze społeczeństwo, zorganizowane w bardzo silne kooperatywy rolne, przetwórcze i konsumpcyjne potrafiło w krótkim stosunkowo czasie zmusić niemal wszystkich żydów miejskich, dzierżących dotąd monopol wszelkiego objawu handlowego w swoich rękach, do opuszczenia terenu. Obeszło się zasadniczo bez bicia i wyzywania. Karne społeczeństwo chrześcijańskie sprzedaje swoje produkty tylko w spółdzielni i czyni swoje zakupy znowu tylko w spółdzielni. Żyd nie miał roboty i wyemigrował albo, w nielicznych wprawdzie wypadkach, przedzierzgnął się w chłopa, własnoręcznie orząc glebę i w pocie czoła pracując na polu.

Oczywiście, że i tutaj do ideału daleko, bo ludzie są tylko ludźmi, których trudno tak szybko oczyścić ze starych przywarów grzechu. Pokazało jednak społeczeństwo ruskie niezbicie, czego w tej dziedzinie dokonać można. To też gros emigrantów żydowskich rekrutuje się właśnie z województw wschodnich, dotkniętych „klęską" spółdzielczości, co jest objawem wielce pożądanym, ale co oczywiście tylko do czasu może funkcjonować, bo niepodobna, żeby 3.000.000 żydów w kilku latach w normalny sposób wyemigrowało.

W naszym wypadku nie może być mowy o jakimkolwiek gwałcie, przymusie lub nawet groźbie. Nie można nawet żądać wydania ustawy, zakazującej kupowania u żydów. Stało się! Wytworzył sobie element miejscowy własne placówki handlowe, zarabia przytem w dwójnasób, bo przy sprzedaży jak też i zakupie towarów i przeprowadza przytem jeszcze bezboleśnie kapitalizację wewnętrzną.

Nawiasem dodać wypada, że rozwój spółdzielczości w Małopolsce Wschodniej jest przedewszystkiem wynikiem pracy tamtejszej młodej inteligencji, która, wyszedłszy z ludu, po ukończeniu studjów wróciła na wieś i po części dla braku innego zajęcia robi robotę spółdzielczą — nader pożądaną — a niestety przy tej sposobności, a raczej za pomocą spółdzielczości, robotę polityczną — nader niepożądaną.

Ale nie o skutki takiej czy owakiej pracy politycznej chodzi tutaj. Trzeba było wykazać, jak spółdzielczość likwiduje supremację żydowskiego pośrednictwa, co na przykładzie ruskim uczyniono.

Więc przypuszczać należy, że skoro tylko chłop polski połączy się w solidarnym wysiłku i stworzy kooperatywy rolne, a skoro tylko społeczeństwo miejskie nareszcie związe się w poważne jednostki spółdzielczo-konsumpcyjne, tak jak Łódź czy Poznań, i nawiąże bezpośredni kontakt z spółdzielniami rolniczemi, podstawa monopolu żydowskiego legnie w gruzach, zaś żyd będzie musiał przewekslować do innych zajęć, — aby tylko żyć. Będzie musiał pójść z pługiem na pole albo z kilofem do kopalni, będzie nareszcie tworzył, a nie nakładał na biedaka swoistego podatku w postaci nieproporcjonalnie wysokich prowizyj od obrotu.

ALEKSANDER LESKI

Nieznane... opory zwalczone?

Polska jest krajem przeważnie rolniczym. Mały rocznik statystyczny z 1935 roku podaje, że według wyniku spisu ludności z 1921 r., 63,8 proc. ogółu ludności zajmuje się rolnictwem, leśnictwem i rybactwem. Uwzględniając cyfrę przyrostu naturalnego ludności, obecnie żyje w Polsce z tych zawodów około 21 miljonów ludzi. Przy takiej strukturze zawodowej ludności jednem z najważniejszych zagadnień gospodarki społecznej jest stopień udziału ludności zawodowo czynnej w rolnictwie w życiu gospodarczem Polski. W ten sposób wieś polska, jako największy zbiornik ludzi-producentów i ludzi-konsumentów staje się najważniejszym ośrodkiem życia gospodarczego kraju. Od zdolności zatem produkcyjnej i od pojemności konsumpcyjnej polskiej wsi zależy w znacznym stopniu nasza sytuacja gospodarcza, zwłaszcza w obecnym momencie, kiedy gwałtowne kurczenie się obrotów handlu światowego, zmusza państwa do organizowania swoich własnych rynkow wewnętrznych. Dla zilustrowania podaję, że wskaźnik wartości obrotów handlu światowego w latach 1929—1934 spadł ze 100 na 34,1 i wykazuje w dalszym ciągu tendencję zniżkową. Wszystko to daje się wskazywać, że gospodarka międzynarodowa niestety nie idzie w kierunku specjalizacji czyli podtrzymywania podziału państw na przeważnie rolnicze i przeważnie przemysłowe, ale zmierza do tworzenia dość szczelnie zamkniętych organizmów gospodarczych o sprawnie zorganizowanych rynkach wewnętrznych. Państwa przystąpiły jedne mniej, inne więcej intensywnie do wytwarzania warunków dla rozwoju możliwie wszystkich niezbędnych gałęzi produkcji tak rolniczej jak i przemysłowej. Szereg państw nie posiadających przed Wielką Wojną żadnego przemysłu lub posiadający nieliczne jego gałęzie i to słabo rozwinięte, hoduje dziś troskliwie w cieplarnianej temperaturze zakazów przywozu czy innych ograniczeń importowych, zaczątki swoich potężnych przemysłów. Klasycznym przykładem jest powstały po wojnie wielki przemysł Rosji sowieckiej lub szybko tworzący się przemysł państw bałkańskich. Kurczą się rynki zbytu dla państw, które w ostatnich dziesiątkach lat popierały rozwój i intensyfikację swoich przemysłów, nastawionych wyłącznie na rynki zagraniczne. Związek tych tendencyj, panujących dziś w gospodarce światowej z niczem niehamowanemi już dziś zbrojeniami państw jest dla każdego, niewtajemniczonego nawet, jasny i zrozumiały.

Przystosowanie się Polski do nowotworzących się warunków gospodarki światowej może i musi się odbyć jedynie i wyłącznie **na drodze zorganizowania naszego rynku wewnętrznego na zdrowych zasadach.** Mam na myśli konieczność wciągnięcia wsi polskiej, tej potężnej siły produkcyjnej i konsumpcyjnej, dziś jeszcze w warunkach zupełnego prymitywu drzemiącej, do procesów życia gospodarczego, t. j. do wymiany pieniężnej i towarowej.

Jakaż jest zatem sytuacja gospodarcza wsi polskiej, jej organizacja i w jakim stopniu ludność zawodowo zajęta w rolnictwie uczestniczy w wymianie wewnętrznej.

Pomijam w tej chwili zagadnienie przebudowy struktury gospodarstw rolnych w Polsce nie dlatego, bym nie doceniał ogromnego znaczenia, jakie rozwiązanie tego palącego problemu mogłoby mieć dla Polski, lecz dlatego, że sprawa ta została obszerniej poruszona przez kolegę Targa w numerze 8 „Kuźnicy". Pozatem w dzisiejszych warunkach politycznych nie jest on, jak widzimy, jeszcze uznany za palący.

W granicach zatem obecnego statusquo terytorjalnego wsi polskiej, największego zła dopatruję się w niestosunkowo małym udziale rolnictwa w rozdziale dochodu społecznego, naskutek nieopłacalności produkcji rolnej nawet małej i średniej własności rolnej, wynikłej z niskich cen produktów rolnych i hodowlanych w Polsce. I tu wchodzimy na teren największych dysproporcyj życia gospodarczego Polski. Jest to sprawa tak zwanych „nożyc cen" artykułów rolnych i przemysłowych. I zło, zdaniem mojem, nie tkwi w tem, że ceny produktów rolnych są niskie, ale **w tem, że przy tak niskich cenach, po których wieś pozbywa się swoich produktów, utrzymują się niewspółmiernie wy-**

sokie ceny artykułów przemysłowych, co w rezultacie odsuwa wieś od wymiany wewnętrznej.

Instytut pracy społecznej wydał z zasiłków Funduszu Pracy książkę p. Michałowskiego pt. „Wieś szuka pracy". Autor stwierdza, że podczas całodziennego pobytu w wiejskim sklepiku w porze największego ruchu na 18-tu nabywców trzech tylko zapłaciło gotówką (razem zapłacili 1,05 zł), a reszta zapłaciła... jajami. Jest to nowy wiejski środek obiegowy, nowy środek wypełniania zobowiązań. W dwóch zaś dużych wsiach, liczących razem 5 tysięcy ludności, w ciągu całego miesiąca lipca br. zakupiono towarów przemysłowych: jedną kosę, 6 guzików nicianych, kubek aluminjowy i 10 dkg gwoździ za ogólną sumę 5,35 zł. Tak oto wygląda konsumpcja polskiej wsi i je zdolność nabywcza. **Jeśli w ten sposób żyje w Polsce połowa ludności** (przypuszczalnie 16 miljonów), **to jakżesz mają wyglądać obroty i nasz rynek wewnętrzny!**

Oprócz różnic cen artykułów rolnych i przemysłowych istnieją jeszcze inne dysproporcje, które odsłaniają nowe wrzody na polskim organiźmie gospodarczym. Otóż: wskaźnik cen hurtownych artykułów przemysłowych, nabywanych przez rolników, wynosił w roku 1929, 101 (rok 1928 przyjmujemy za 100) i spadł w roku 1934 na 71, podczas gdy wskaźnik cen płaconych rolnikom za ich ziemiopłody spadł w tym samym czasie z 76 na 34. Różnica więc wynosi tu 37! czyli że przeciętna cena artykułów kupowanych przez rolnika była wyższa o 37 proc. od przeciętnej ceny, po której rolnik musiał sprzedawać produkty rolne. Ale o tem pisałem wyżej. Mało tego: ta sama dysproporcja występuje pomiędzy cenami hurtownemi, kosztami utrzymania i kosztami żywności. Różnice i tu są ogromne. Pomimo, że wskaźnik cen hurtownych spadł w latach 1929—34 z 96 na 56, a ceny produktów rolnych nawet na 34, ogólny wskaźnik kosztów utrzymania rodzin robotniczych np. w Warszawie spadł w tym samym czasie ze 102 zaledwie na 67. Pochodzi to stąd, że ceny detaliczne oraz wszelkie świadczenia oddawane przez przedsiębiorstwa państwowe, komunalne, kolej i pocztę **spowodu ich uprzywilejowanego stanowiska** nie zmniejszają się. Czyli że ktoś, kto stoi między zubożałą polską wsią, która za bezcen sprzedaje swoje produkty, a robotnikiem i wynędzniałym inteligentem naszych miast i miasteczek, zarabia zbyt wiele, rabuje, mówiąc po imieniu. Bo jakżesz inaczej nazwać to dziwne w Polsce zjawisko, że przy najniższych cenach produktów rolnych na wsi, koszta utrzymania po miastach i miasteczkach są tak niespółmiernie wysokie.

I oto dotkniemy się zaraz ropiejących wrzodów wyczerpanego polskiego organizmu gospodarczego, na które, jak dotąd, Polska nie znalazła odpowiedniego chirurga. Dzieje się to wszystko naturalnie także i kosztem Państwa, które nie może w naszych warunkach wyciągnąć z gospodarstwa społecznego więcej niż miljard 800 miljonów rocznie, by ledwo opędzić swoje najpierwsze potrzeby państwowe.

Podczas gdy ceny produktów rolnych i hodowlanych kształtują się w Polsce w ścisłej zależności od cen rynku światowego, ceny większości naszych artykułów przemysłowych utrzymują się sztucznie na wysokim poziomie dzięki sprawnej organizacji kartelów.

Teoretycznie rozróżniamy kartele techniczne i handlowe, jedne dla uporządkowania produkcji w pewnej gałęzi przemysłu, drugie dla celów skutecznego podtrzymywania wysokich cen przez wyeliminowanie konkurencji drogą opanowania wszystkich zakładów pracy pewnej gałęzi produkcji. W Polsce posiadamy niestety jedynie kartele drugiego typu. Ceny takich artykułów jak węgla, żelaza, cementu, skór, cukru i nawozów sztucznych utrzymują się sztucznie na wysokim poziomie, naskutek czego **wieś, otrzymując za swe produkty niestosunkowo mało, przestała kupować, wycofując się prawie zupełnie z rynku wewnętrznego Polski.** Rezultatem jest katastrofalny kryzys w przemyśle naskutek konieczności ograniczenia produkcji wobec zmniejszonej chłonności rynku wiejskiego w Polsce.

Ponieważ jesteśmy krajem wybitnie rolniczym, zubożenie wsi musiało wpłynąć na zastój w przemyśle i handlu, wywołując bezrobocie i coraz bardziej wzrastającą pauperyzację mas ludności po miastach i miasteczkach, żyjących bezpośrednio ze wsi.

Według ogłoszonego niedawno komunikatu Wydziału Ekonomiki Państwowego Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego wydatki rolników na odzież, obuwie i najpotrzebniejsze rzeczy, w porównaniu z analogicznemi wydatkami z roku 1928/29 kształtowały się przeciętnie na jedną osobę następująco:

	Rok 1928/29	1933/34
Odzież i obuwie	124,42 zł	45,56 zł
koszty leczenia	13,54 zł	4,99 zł
kształcenie dzieci	25,62 zł	6,63 zł
książki i pisma	5,22 zł	1,76 zł
podróże	13,35 zł	2,68 zł
tytoń	10,38 zł	4,65 zł
napoje alkoholowe	9,72 zł	2,21 zł
zabawy	3,36 zł	1,03 zł
uroczystości rodzinne	4,04 zł	2,62 zł

Ogółem wydatki tej kategorji wynosiły w roku 1928/29 przeciętnie na jedną osobę 269 zł, w roku 1933/34 wynoszą już tylko 90,— zł, czyli spadły do 34 proc. W tej samej mierze wieś ograniczyła swoje wydatki na opał ,światło i materjały żywnościowe. Jeżeli więc pomnożymy 15 miljonów (przypuszczalnie liczba dorosłej ludności w Polsce) przez 269,— zł, to otrzymamy 3 miljardy 850 tysięcy. Jest to suma, która przypuszczalnie w latach 1928/29 wpłynęła do kas kupców ze strony wsi. W latach 1934/35 cyfra ta spadła do katastrofalnej niskiej sumy 1 miljarda 200 tysięcy. Przy takiej zdolności konsumpcyjnej rynku wiej-

skiego w Polsce oraz wobec ograniczonych możliwości eksportowych zrozumiałem jest, że wskaźnik produkcji przemysłowej w Polsce w latach 1928—34 spadł ze 100 na 63, kursy akcyj przemysłowych obniżyły się ze 100 na 19, a emisje kapitałów ze 100 na 7!

Dotychczas usiłowania rządu do przyjścia z pomocą rolnictwu ściągają się do dwóch zasadniczych środków: a) podtrzymywania cen artykułów rolnych i hodowlanych na poziomie opłacalności produkcji rolnej i hodowlanej, b) akcji oddłużeniowej rolnictwa. ad. a) utworzony został przed kilkoma laty Państwowy Zakład Produktów Zbożowych, tj. urząd, skupujący zboże celem podtrzymania cen i sprzedaży zboża za pół darmo zagranicą. Akcja ta, jak wiadomo, skończyła się niepowodzeniem. Nie udało się bowiem Państwu oderwać cen rynku rolnego Polski od cen rynków światowych. Podany wyżej wskaźnik cen płaconych rolnikom za artykuły zbożowe, potwierdza tę smutną prawdę.

Punkt jednak ciężkości naszej dzisiejszej sytuacji gospodarczej leży w dziedzinie stosunku cen artykułów (nieskartelizowanych) tj. produktów rolnych, hodowlanych i niektórych artykułów przemysłowych do cen artykułów skartelizowanych (większość artykułów przemysłowych).

Prawie wszystkie nasze kartele są niepowetowaną szkodą dla najżywotniejszych interesów naszej gospodarki. Zamiast organizować produkcję, podnosić ją technicznie, kartele zrzeszają się dla celów możliwie najwyższego wyśrubowania cen. Proceder ten jest możliwy z uwagi na nieistnienie możliwości konkurencji w pewnych działach produkcji przemysłowej, opanowanych przez kartele.

Przykładem skutecznej interwencji Państwa w politykę kartelową w Polsce był przed rokiem kartel cementu. Przed rozwiązaniem kartelu hurtowna cena cementu wynosiła 5,70 zł za 100 kg, a obecnie po rozbiciu kartelu przez Państwo cena waha się od 1,70 do 2,20 zł. W ciągu czterech miesięcy zbyt wzrósł z 62 tysięcy ton do 189, czyli trzykrotnie.

Istnieją w Polsce jakieś opory, których społeczeństwo polskie nie zna i nie rozumie. Są jakieś nieznane a potężne siły, które przeciwstawiają się najlepszym nawet zamiarom Państwa i Rządu. Jeśli nawet rozpocznie się ciężkie zmaganie, w ostatniej chwili ciemne siły zwyciężają, a Państwo kapituluje.

Jeszcze nawet dziś, gdy społeczeństwo polskie żyje w apatji i zniechęceniu, byłyby psychiczne warunki na szybkie ideowe poruszenie szerokich mas społeczeństwa, gdyby był program śmiały i prosty, a wykonanie szybkie i bezkompromisowe. I dlatego z takiem zaciekawieniem społeczeństwo oczekuje wyników pracy nowego Rządu.

—::—

Czy już zapłaciłeś prenumeratę?

Janina Żabierzewska

Ano...

Czasy są szare, leniwe, niechętne — —
Czujesz się człeku coraz — coraz — marniej —
i — dzień jest smętny
i ludzie „czarni“ —

Pył gryzie oczy — skąd? — Stamtąd. Z kopalni —
Jaśniej nie spojrzysz, bo i niema na co — —
a ludzie czarni
nadzieję tracą —

„Obiecywano i nie dotrzymano“!
— Więc są nieufni i słowom niechętni.
Szkoda się żalić Bogu i swym panom —
jest coraz smętniej.

Ano — turnusy i liche zarobki,
Kryzys, brak pracy (dwa nędzy ramiona)
A w domu? Dziecek nieobute stopki
i wściekła żona —

Złym, ciężkim czasem, zwalone nadzieje — —
Człowieku smętny
dzień nowy idzie — zaczekaj — już dnieje!
— — Oooo!! Świat jest piękny!!

EMIL KUJAWSKI

Współczesna rodzina śląska

(c. d.)

Mówiąc o rodzinie jako jednostce organizacyjnej o charakterze społecznym, musimy znaleść te pierwiastki, tak duchowe jako też materjalne, które przyczyniają się do jej zwartości i spoistości, a których brak powoduje rozluźnianie się węzłów rodzinnych. Musimy rozpatrzeć te elementy składowe, około których skupiają się dążenia, jakoteż uczucia członków rodziny.

Wskutek ewolucji życia, spowodu przemian zachodzących w dziedzinie materjalnych warunków, a łącznie z przeobrażeniami, jakim ulega stopniowo życie społeczne, wartości, jakie ma pielęgnować rodzina, ulegają stopniowemu umniejszaniu. Uboższe więc życie rodziny, a temsamem rozluźniają się węzły łączące poszczególnych jej członków. Rodzina nie wywiązuje się należycie z zadań, jakie na nią nakłada społeczeństwo. Powstaje w ten sposób pewna niewspółmierność pomiędzy zadaniami, jakie ma do spełnien a rodzina, a jej zdolnością należytego wywiązania się z tych zadań.

Mówimy o rodzinie robotniczej i inteligenckiej. — One bowiem są najbardziej złączone z ewolucją współczesnego życia. Odmienny, więcej konserwatywny charakter będzie posiadała rodzina wiejska, a więc w środowisku rolniczem. Porównajmy rodzinę robotniczą i inteligencką z rodziną wiejską. Chodzi o tło, a więc środowisko socjalne.

Rodzina wiejska żyje w gromadzie, wspólnocie wiejskiej, z którą czuje się silnie związaną. 1) Równocześnie jest od niej uzależniona. Istnieją pewne zwyczajowe formy postępowania, dyktowane przez gromadę jednostce, których ta nie może przekroczyć, nie narażając się na przykre konsekwencje opinji publicznej. Opinja wspólnoty wiejskiej dyktuje swym członkom obowiązki, wynikające z przynależności do grupy gromadzkiej, narodowościowej, kościelnej. W kryterjach moralnych, dyktowanych przez grupę wiejską, znajdują się także obowiązki jednostki jako członka rodziny.

W innem zupełnie środowisku socjalnem żyje rodzina robotnicza. Większa osada fabryczna lub miasto stanowią raczej mechaniczny konglomerat ludzki, w którym żyją koło siebie ludzie zupełnie sobie obcy. Brak spoistości duchowej danego skupiska ludzkiego powoduje odosobnienie rodziny. Temsamem brak jednostce pewnych sankcyj moralnych, dyktowanych przez daną zbiorowość. Stąd także rozluźnienie moralne rodziny i pewnych węzłów scalających jej członków. Tylko w rodzinach kulturalnie wyżej stojących miejsce opinji publicznej zastępują — osobiste normy i ideały oraz rozmyślne panowanie nad sobą. 2)

---

1) Tönies: Gemeinschaft und Gesellschaft r. 1899.

2) Fl. Znaniecki: Socjologja wychowania t. I. 1928.

Drugą, a silnie rodzinę scalającą jest jej strona materjalna, a raczej jej warsztat pracy. Zainteresowania i wysiłki członków rodziny wiejskiej skupiają się około wspólnego gospodarstwa. Dziecko robotnika, czy inteligenta nic nie wie o warsztacie pracy swego ojca. Częstokroć obok ojca pracuje zawodowo matka, także poza domem. Praca zawodowa, przeniesiona poza obręb rodzinnych zainteresowań i współdziałań, powoduje wytworzenie się w atmosferze rodzinnej poważnej luki. Poza źródłem dochodów nie stanowi dla rodziny żadnych wartości moralnych.

Z pracą jest związany układ dnia poszczególnych członków rodziny. Ojciec i matka (o ile pracuje zawodowo) większą część dnia spędzają poza domem. Z pracą są złączone pewne ideały zawodowe czy klasowe, a co zatem idzie, udział w tem życiu zawodowem. Obok stowarzyszeń zawodowych istnieją organizacje społeczne o charakterze narodowym, państwowym, kościelnym, kulturalnym, rozrywkowym itp. (społeczeństwo górnośląskie chętnie się zrzesza w rozlicznych stowarzyszeniach).

Dziecko część dnia spędza w szkole, dużo czasu spędza wśród rówieśników w grupach zorganizowanych lub luźnych bandach dziecięcych. Życie duchowe rodziny ubożeje. Ideały społeczne, kulturalne, współżycie z bliźnimi, sympatje przenoszą się na teren grup i stowarzyszeń.

Na tle rozważań na temat przeobrażeń, jakim ulega rodzina współczesna, skolei musimy rozpatrzeć zadania, jakie na nią nakłada społeczeństwo, zorganizowane w różnych grupach. Pierwszem z tych zadań będzie funkcja rodzenia. I ta maleje, jeżeli weźmiemy pod uwagę świadome ograniczanie urodzin. Pobudkami w tym wypadku będzie chęć należytego korzystania z dóbr kulturalnych (tak materjalnych jak i duchowych) przez rodziców, z czego przy większej rodzinie musieliby w wysokim stopniu zrzygnować, zabezpieczenie potomstwu awansu społecznego, wymagającego w okresie wychowania większych świadczeń materjalnych.

Rodzina, jako podstawowa komórka społeczna, ma być nosisielką pewnych wartości kulturalnych, dyktowanych jej przez różne prądy kulturalne. Z natury swej konserwatywna, rodzina niechętnie i nieprędko ulega przeobrażeniom. Tymczasem życie współczesne domaga się szybkiej reakcji i prędkich przeobrażeń psychiki człowieka. Dlatego też, mówiąc obrazowo, prądy te wolą rozmawiać z poszczególnemi członkami rodziny na tle innej całości aniżeli rodzina. Tu wymienimy ponownie stowarzyszenia o charakterze narodowym, państwowym czy zawodowym. W tych sto-

warzyszeniach następuje urabianie i utrwalanie światopoglądów ojca, matki i młodzieży pozaszkolnej. 3) Wychowanie młodzieży w duchu pewnych tendencyj społecznych (np. państwowych) następuje w murach szkolnych tak przez nauczanie jako też organizacje młodzieżowe.

Pozostaje do omówienia stosunek rodziny do najważniejszych jej funkcyj społecznych, tj. do wychowania młodych pokoleń. Wychowuje ojciec, matka i ogólna atmosfera rodzinna. Wychowuje szkoła. I tutaj występują dysproporcje zachodzące pomiędzy zadaniami wychowawczemi, a ich wypełnianiem przez rodzinę. Naskutek zubożenia sfer robotniczych (robotnicy turnusowi i bezrobotni) szkoła dożywia dzieci, ubiera je, wysyła na kolonje letnie i uzdrowiskowe. 4) Szkoła uczy, t. zn. wprowadza wychowanków w pewne wartości kulturalne i przygotowuje na członków najważniejszych grup społecznych (państwa, kościoła). — Szkoła uczy współżycia, organizując czas wolny ucznia od nauki. Dalekiemi wydają się dziś czasy, gdy szkoła ludowa uczyła elementarnych podstaw czytania, pisania i rachowania, gimnazjum reprezentowało wartości o przewadze kultury humanistycznej, a młodość wynosiła z domu trwałe, a niezmienne podstawy etyczne o silnem zabarwieniu emocjalnem. 5) Czas wychowania tylko rodzinnego zaczyna się skracać. Na Śląsku możemy zauważyć silny wzrost liczby przedszkoli, do których przechodzą dzieci w 4—5 roku życia.

Wychowanie możemy podzielić na rodzinne i społeczne, którego reprezentantką jest szkoła. Przez szkołę wychowuje (w zrozumieniu urabiania duchowego) państwo, kościół i pewne instytucje kulturalne, przez szkołę obejmują nad dzieckiem funkcję opiekuńczą instytucje opieki społecznej, charytatywne i samorządowe. Rola rodziny w szerokich sferach społeczeństwa staje się raczej wtórną, dopomagającą, podporządkowaną założeniom wychowania społecznego, tj. szkolnego.

Kończąc refleksje na temat współczesnej rodziny, zdajemy sobie sprawę z tego, że temat został zaledwie poruszony. Wymaga szerszego omówienia. Nie potrzeba uwypuklać roli rodziny dla dalszego rozwoju kultury, opartej na współczesnych podstawach. W ogólne wartości życia współczesnego wnosi ona przedewszystkiem duchowe pogłębienie jednostki. Pogłębienie i uszlachetnienie przez miłość. Człowiek, który z domu nie wyniósł świętego ognia, wznieconego przez Bożą iskrę miłości, którego dzieciństwo nie było sielskiem i anielskiem, nie będzie pełnym człowiekiem. Powstanie w jego duszy luka, której nie wypełnią choćby najbogatsze inne przeżycia. Żeby dzieciństwo było skarbnicą, z której można czerpać zapasy na dalszą drogę życia i współżycia! W tem leży największa siła zwartego i pełnego życia rodziny.

3) Zw. Powstańców, Strzelec., O. M. P., Tow. Polek (matek i młodych) itp.

4) Harcerstwo, Straż Przednia.

5) Na 840 uczniów wydano w szkole w Katowicach w jednym roku: 130 par bucików, 95 ubranek, 15 płaszczy, 60 koszul, wydawano dziennie 280 śniadań, wysłano na kolonje letnie 120 uczniów.

Wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom „KUŹNICY"

Wesołych Świąt

i

Dosiego Roku

życzy serdecznie

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

KAROL WAŁACH

O lepszy ustrój społeczny

Jakkolwiek nin. artykuł ani nie dorzuca do art. p. T. Michejdy nowych myśli, ani też nie zgadza się z poglądem Redakcji, umieszczamy go jako szczerą reakcję czytelnika na poruszone zagadnienie.

Redakcja.

Rozważając w artykule pt. „O lepszy ustrój społeczny" kwestję ustroju społecznego, p. T. Michejda stanął na stanowisku, że ustrojem, najwięcej dziś odpowiadającym społeczeństwu, byłby ustrój o charakterze kapitalistycznym, który w projekcie swym nazwał „kapitalizmem uspołecznionym".

Jakkolwiek niektóre koncepcje Autora budzą duże zastrzeżenia, (ubezpieczenia, podatki), to jednak co do ogólnego charakteru ustroju pozwolę sobie stanąć po jego stronie i w niniejszych uwagach poświęcić kilka słów pytaniu: jakie względy przemawiałyby na korzyść wymienionego ustroju i czego od niego należałoby żądać.

Wyjdźmy z ogólnego określenia ustroju „dobrego". Rozszerzając nieco definicję Autora, nazwałbym „dobrym" ustrój, który nietylko zapewnia obywatelowi maksimum wolności i dobrobytu, ale i rozwija przytem i potęguje dodatnie wartości jednostki, zapobiegając

równocześnie rozwojowi jej cech ujemnych. Dobry ustrój społeczny nie może pozostawać w rozbieżności z przyrodzonemi cechami człowieka, nie może narzucać mu czegoś, co stoi w zupełnej sprzeczności z jego utrwalonem psychicznem nastawieniem, gdyż inaczej wywoła rozprężenie i demoralizację jednostki, a z nią i społeczeństwa.

Porównując z tego punktu widzenia ustrój komunistyczny z ustrojem „uspołecznionego kapitalizmu", należy bezsprzecznie przyznać wyższość temu ostatniemu, a to z tego względu, że ustrój ten, pozostawiając obywatelowi prawo własności i nie przekreślając w sposób gwałtowny wrodzonego mu egoizmu, nałoży na ten ostatni tylko pewne hamulce, a temsamem — przy podtrzymywaniu wynikających z egoizmu zjawisk dodatnich, — osłabi wszelkie towarzyszące zjawiska ujemne. Przez uznanie prawa własności prywatnej, ustrój podsyci zainteresowanie obywatela w kierunku pracy produktywnej, podtrzyma jego skłonność do gospodarki racjonalnej i oszczędnej, a z drugiej strony dążył będzie do tego, by wstrzymać chęć zysków nadmiernych i uniemożliwić zdobywanie ich drogami szkodzącemi interesom ogółu.

Jako drugi zasadniczy „plus", przemawiający za tymże ustrojem, należy uznać fakt, że przejście do niego może się odbywać etapami i to w sposób płynny, bez szkodliwych, nagłych wstrząsów i zaburzeń, zwłaszcza w państwie, które kapitalistów jako „potentatów finansowych" prawie nie posiada. W tych warunkach pewne więzy, narzucone przez nowy ustrój, dotykają tylko drobnej części społeczeństwa, podczas gdy olbrzymia jego większość odczuwa zmianę tylko jako ulgę dla siebie. Nie można tego natomiast powiedzieć o ustroju znoszącym własność prywatną, gdyż — biorąc przykład — trudno sobie wyobrazić, jak przyjąłby taką zmianę np. chłop polski, dla którego „jego ziemia" jest wprost treścią życia.

Czego należałoby od nowego ustroju żądać? Przyjmując założenie, że opiera się on na prywatnym warsztacie pracy jako elemencie podstawowym, ustrój winien przedewszystkiem temu właśnie warsztatowi dać korzystne warunki powstania, rozwoju i egzystencji. Drogą odpowiedniego ustawodawstwa przemysłowego i przy pomocy kredytów inwestycyjnych należy ułatwić samo powstanie nowej komórki i zapewnić jej byt aż do czasu, gdy weźmie ona dostateczny „rozpęd" i stanie się zdolną do samodzielnego życia i przyjęcia na siebie świadczeń na rzecz państwa.

Zorganizowanie poszczególnych drobniejszych ośrodków pracy w spółdzielnie, zharmonizowanie ich działalności, ułatwienie wymiany towarów tak na rynku krajowym, jak i zagranicznym, oto dalsze zadania.

W zakresie handlu zagranicznego nowy ustrój winien przedewszystkiem dać państwu możność prowadzenia planowej i skoordynowanej gospodarki eksportowej celem utrzymania dwóch najważniejszych zasad: aktywności bilansu handlowego i stopniowego zdobywania rynków zagranicznych. Planowość polegająca m. i. na szybkiem dostosowaniu wytwórczości krajowej do potrzeb rynków, na specjalnem podciąganiu tych działów wytwórczości, które w danej chwili mogłyby stanąć do walki z obcym konkurentem, a wreszcie na wyspecjalizowaniu w pewnych kierunkach celem zdobycia rynku bądź jakością towaru, bądź też jego ceną, itp., mogłaby przynieść rezultaty zupełnie zadawalające mimo istniejących murów celnych.

W dziedzinie administracji państwa żądać należy od nowego ustroju przedewszystkiem przesunięcia stosunku pracowników opłacanych przez skarb państwa do pracowników czerpiących swe dochody ze źródeł prywatnych i płacących podatki, w kierunku zmniejszenia liczby pierwszych. Nie trzeba specjalnie podkreślać, jaki wpływ wywierają na budżet państwa przesunięcia wymienionego stosunku w jednym, lub drugim kierunku. Administracja państwowa może zostać uszczuplona zarówno co do czynności, jak i co do ilości urzędników. Stać się to może przez przerzucenie pewnych prac w ręce prywatne, przez uproszczenie systemów pracy i wreszcie przez zorganizowanie administracji na zasadach naukowej organizacji pracy; ta ostatnia zwłaszcza miałaby tu duże pole do zastosowania. —

Nie poruszając szerzej kwestji podatków i ubezpieczeń społecznych, zaznaczyć należy, że i tu kierunek zmian winien być dostosowany i zharmonizowany ze zmianami w innych dziedzinach życia i prowadzić do uproszczenia czynności, oraz właściwego rozłożenia świadczeń na poszczególne sfery społeczeństwa.

Jeżeli chodzi o podział dochodu społecznego, to sam udział pracowników w zyskach przedsiębiorstwa nie jest dostatecznym, gdyż nie prowadzi do wyrównań między poszczególnemi działami produkcji. Ogólną regulację wymiany dobr, mogłoby objąć tylko państwo i przeprowadzać ją drogą kontroli nad produkcją i cenami.

Zmiany w życiu gospodarczem, jakich obecnie jesteśmy świadkami, możemy uważać za pierwsze jaskółki nowego ustroju. Czy przyjdą po nich dalsze i stworzą ustrój lepszy, okaże przyszłość.

—::—

Z. G.

Zagadnienie alzackie

Claude Odilé w swej monografii o Alzacji, wydanej w roku 1934, a będącej zresztą przykładem propagandowego wydawnictwa, pisze:

„Kult rozumu, sprawiedliwości, braterstwa, kazał nam (Francji) robić rewolucje. Niemiec robił je tylko na rozkaz. Jedyny akt rewolucyjny, do którego jest zdolny, to wojna. Konkluzja? nic niema bardziej szczerego, jak pragnienie pokoju u Niemca; ale nic też bardziej naturalnego, jak chęć bicia się, kiedy rozkazy są wydane. Między tą Francją a temi Niemcami Alzacja jest wiecznym pomostem walki."

Tak w roku 1934 Francja nie ma do Niemiec za sous'a zaufania.

I.

Było to w r. 1870. Wojska pruskie w zwycięskim marszu przechodziły Alzację, aby ją przyłączyć do nowego bismarckowskiego Cesarstwa Niemieckiego, aby zrewindykować prowincję, którą rzekomo bezprawnie zrabował dla Francji Ludwik XIV. Chodziło o kwestję niebyłejaką: rozstrzygnięcie pozytywne wreszcie dla świata germańskiego odwiecznej kwestji, czy Ren jest rzeką Niemiec, czy granicą Niemiec.

Anegdota wspomina wtedy o pewnym Alzatczyku, który słysząc pruskie kanony zamknął na rynku w Wissemburgu swe bańki z mlekiem i mruknął:

„Wojna? ja kpię sobie z waszej wojny!"

— i podczas gdy reszta mieszkańców zdaleka obserwowała pole walki, on zaciął konia i obojętnie przejechał przez nie od początku do końca, nic sobie nie robiąc z kul gwiżdżących mu nad głową.

— Alzatczyk nie jest entuzjastą polityki.

— Od wieków przewalała się nad jego głową....

II.

Już pierwszy z brzegu podręcznik pouczy, że jest za co kochać Alzację, nawet pomijając kapitalne znaczenie strategiczne.

— Nafta w Bas-Rhin, bogate potasy w Haut-Rhin, olbrzymie przestrzenie zajęte pod uprawę chmielu, tytoniu, wina, zboża, niezliczone ilości browarów, tekstylja, cudowne, nowoczesne szosy podarowane przez Francję, wspaniałe porty rzeczne wraz z główną arterją eksportu — Renem....

Przywilej błogosławionego kraju odbiera Alzacji jedynie — położenie. Jest wiele przyczyn, dla których rozwinął się tak potężnie regjonalizm alzacki, dla których rozpostarcie nad tym krajem czy proporców francuskich, czyto sztandarów niemieckich, nie załatwia jeszcze sprawy bez reszty.

Z natury swej jest Alzacja amalgamatem różnych różnych kultur i syntezą różnych pierwiastków rasowych.

Panami ziemi byli najpierw Celtowie. Potem przyszli Rzymianie, za nimi Germanowie. Weszli głęboko. Rozsnuwa się dalej w historji cała sieć wpływów szwajcarskich, burgundzkich, szwedzkich; w epoce najnowszej zaczynają uderzać w Alzację dwa potężne młoty polityczno-kulturalne: Francja, Niemcy!

Ileż stąd wyrosło przeciwieństw na tym odwiecznym węźle dróg politycznych, handlowych i komunikacyjnych! Laik zatrzyma się zdumiony, patrząc, jak w Wissemburgu tłum wieśniaków w kostjumach ludowych będzie śpiewał po niemiecku jakieś melancholijne pieśni wobec przedstawicieli władz francuskich. Nie uspokoi się, dopóki nie usłyszy, że z tego Wissemburgu, tak jak i z dolin wogeskich wyszli kiedyś najlepsi grenadjerzy napoleońscy, że rzadko która prowincja oddała tyle krwi, wiary i entuzjazmu dla haseł Wielkiej Rewolucji, co właśnie Alzacja.

Nieporozumienia są jednak bardzo częste, i to właśnie najczęściej między samą Francją i Alzacją.

Racja stanu Paryża mówi: przecież jesteście Francuzami! dlaczegóż wobec tego mówicie narzeczem niemieckiem, dlaczego chcecie utrzymać swoje ustawy niemieckie, własny konkordat itd.

Odpowiadają Alzatczycy:

„Tysiąc lat wraz z krajami, które nazywają się dziś Austrją i Szwajcarją, wchodziliśmy w skład Świętego Cesarstwa Niemieckiego. Nie mieliśmy wtedy powodu poszukiwać swej odrębności, gdyż Pierwsza Rzesza nie gleichszaltowała swych szczepów i szanowała naszą wolność.

Za 900 lat przyszła druga Rzesza, Rzesza Bismarcka i sztywnych panków feodalnych Prus. Tej Rzeszy już nie mogliśmy uznać za swoją Ojczyznę, tak jak nie uznaje jej Austrja, czy Szwajcaraja, kraje ośnieżone wielkiemi szczytami Wolności. Gwarantką naszej swobody, naszą nową Ojczyzną stała się tymczasem Francja, w niej umieściliśmy nasze losy — losy wolnych obywateli alzackich.

Nie uznajemy również za naszą Ojczyznę Trzeciej Rzeszy, Rzeszy Adolfa Hitlera. Nie jesteśmy bowiem germanami czystej krwi (pośród naszych murów sterczą ruiny rzymskich warowni) — jesteśmy zato **czystej krwi demokratami.** Należy jednak unikać pomyłek. Jeśli nie możemy i nie chcemy być 100-proc. standardowymi Niemcami, czyż możemy stać się 100-proc. standard Francuzami?

Nie jesteśmy bez reszty ani jednem ani drugiem, **Jesteśmy Alzatczykami.**

III.

Na rynku księgarskim ukazała się niedawno książka prof. Redsloba pt. „Entre la France et l'Allemagne".

Jest to pamiętnik Alzatczyka z czasu zaboru niemieckiego 1870—1918, odzwierciadlający w sposób jasny i niewątpliwie szczery sytuację z tego okresu, który autor nazywa okresem „tragedji alzackiej". Dowiadujemy się z pamiętnika, jak germanizacyjnym wpływom szkoły przeciwstawiał się dom, twierdza tradycyj francuskich, jak grzmotowi bębnów i marszów cesarskich dolatujących z ulicy, przeciwstawiano po cichu z alzackim uporem „Sambre et Meuse" lub „Marsyljankę" — hymn, który powstał ongiś nie gdzieindziej, lecz właśnie na ziemi alzackiej, w Strasburgu.

Dowiadujemy się, ile tysięcy Alzatczyków na znak protestu wyemigrowało do Francji; ale dowiadujemy się też, ile tysięcy zmuszonych było uznać realny stan rzeczy, i powoli z nim się godzić.

O ile stracone były dla Niemiec klasy wyższe, zdecydowanie profrancuskie, to pozostały jednak inne warstwy, przedewszystkiem lud, któremu za cenę asymilacji dawano pewność szybkiego awansu na drabinie socjalnej.

Szkoła niemiecka pracowała, sytuacja zmieniała się z roku na rok na korzyść Niemców. Autor przyznaje, że wystarczyłoby może jeszcze **jednego pokolenia**, a wpływy francuskie znikłyby bez śladu i mielibyśmy może do czynienia ze zwykłą prowincją monarchji, prowadzącą jak Bawarja platoniczny spór z Prusami.

Oto różnica między Alzacją a Śląskiem, czy Poznańskiem. Na wschodzie była walka dwóch narodów, w Alzacji raczej dwóch kultur i światopoglądów. Alzacja poniosła cięższe straty. — Tylko Prusy nie są dyplomatami.

IV.

Było to w roku 1913.

Młody porucznik niemiecki von Forstner przemawiając do żołnierzy pruskich w Monsviller, koło Saverne, użył pod adresem Alzatczyków następujących lekkomyślnych słów:

„Jesteście od tego, by walczyć. W kraju tym (Alzacji) będziecie mieć bardzo liczne okazje do bicia się. Gdyby któryś z tych włóczykijów (Alzatczyków) — odważył się was zaczepić, nie wahajcie się użyć broni. A jeśli komu puścicie trochę krwi, dostaniecie zato po 10 marek z mojej kieszeni!"

Słowa te padły w obecności kilku rekrutów alzackich, ubranych w mundur pruski. Stały się one zarzewiem wielkiej afery, która zaogniła sprawę alzacką bardzo nie w porę, bo w przeddzień wybuchu wojny światowej. Była to słynna „afera z Saverne".

Poruszyła ona Alzację, poruszyła Berlin, Paryż, Europę. Rozbrzmiała nią ulica, sądy, trybunały! Kwestja Alzacji stała się znowu kwestją otwartą.

Wojna!... Tryumf koalicji. W roku 1918 armja francuska wkracza do Strasburga. Ludność alzacka wita ją łzami i kwiatami! I znów kilka lat...

Rok 1928. Minęły radosne miesiące zjednoczenia z Francją, od czterech lat natomiast Alzacja obserwuje rządy kartelu lewicy, obserwuje z rosnącem niezadowoleniem!

—•—

„Wyrzuciliście Niemców? Zgoda! ale — — — laizacja Alzacji? Bezpardonowa unifikacja prawna i i kulturalna z Francją? Nie, na to sobie tak łatwo nie pozwolimy! Tu Francja musi unikać metod pruskich!"

Zaczęła się afera polityczna! Najbardziej filoniemieckie warstwy: duchowieństwo i biurokracja, podniosły nagle głowę. Przypomniano po raz pierwszy, że Alzacja włączona została do Francji bez plebiscytu, podczas gdy sąsiednia Saara...

Proces Colmarski (1928) stał się szczytowym punktem afery. Zdemaskował on separatystyczne dążności zfanatyzowanej grupy germanofilskiej, mającej charakter spisku przeciw Francji (spisek elektoralny).

Masy nie były zaangażowane. Proces ten miał jednak ten wyraźny skutek, że nauczył Francję ostrożności. Miał drugi, gorszy rezultat; pozostawił po sobie potomka w postaci „autonomizmu", ruchu do dziś istniejącego, o fizjognomji bardzo złożonej, który jednak zgodnie uważany jest za najpoważniejszy ośrodek wpływów niemieckich w Alzacji.

W prasie autonomistycznej alzackiego Volksfrontu stale spotykamy jak ostrzeżenie — żądanie plebiscytu podobnego jak w Saarze....

Tylko że katolicyzm nie żegluje już w stronę zhitleryzowanych Niemiec.

V.

Pieni się i szumi stary Ren.... topiel jego jest zielona, czysta i głęboka. Nad brzegiem jego ze strony francuskiej, usiadły co kilkaset metrów betonowe kopce fortyfikacyjne, tam w dali urodzajna ziemia szemrze szczytami winnic melancholijne strofy rapsodji alzackiej.

— Odwieczny pomost walki. Dziś tryumfuje Francja. Hitler zrzekł się pretensji do Alzacji i Lotaryngji. W każdym razie zrzekł się akcji gwałtownej.

A zatem?... Kończmy już feljeton.

Jeśli ani sztandary francuskie, ani niemieckie nie są w Alzacji stuprocentowem rozwiązaniem sprawy, dzisiejsze rozwiązanie ma za sobą jeden niezaprzeczony i kolosalny plus: jest w interesie Europy!

Z ruchu umysłowego w regjonie śląskim

ZDZISŁAW HIEROWSKI

Proszę o głos...

Wprawdzie każdy uświadomiony obywatel oddał swój głos we wrześniu miłościwie nam panującego roku, ale gadania nie zaprzestał. Prawdopodobnie dlatego, że posłowie głosy odebrali, ale nawet z ani jednego z nich, t. zn. własnego, nie zamierzają zrobić użytku. Zdaje się, że oni skolei oddali swoje głosy jeszcze wyżej.

Milczą reprezentanci, więc zaczynają mówić reprezentowani. Wogóle coraz więcej gadania. I pod tym względem prawdopodobnie również według określenia najmłodszego posła — „Śląsk przoduje". Obawiam się tylko, że to przodowanie jakościowe przedstawia się tak samo jak przodowanie w wyborach. —

W ostatnich czasach zauważyłem niepokojące wydłużenie się kronik miejscowych w naszych dziennikach. Cóż u djabła? Więcej kradną, czy co?. —

Nie — to tylko odczyt, odczyt, odczyt, żywy dziennik, słówka, wszędzie wstęp wolny i zaproszenia na kopy do otrzymywania tam a tam. —

Wziąłem to za objaw kryzysu (a może to tylko depresja?) zarówno finansów jak i czytelnictwa. Gadanie nic nie kosztuje. Każdy przyjdzie, wysłucha i pójdzie, jeszcze mu podziękują, że przyszedł. A gdyby chciał co przeczytać, to musiałby za to zapłacić albo najwyżej pożyczyć, co też zadarmo rzadko się zdarza. —

Był czas, że wysłuchanie odczytów i wieczorów dyskusyjnych uważałem za niezły sposób informowania się o tem, co myślą na Śląsku. Ale w ostatnich czasach musiałem zaprzestać szerszego stosowania tej metody. Pomyślałem natomiast, że lepiej byłoby zaangażować trzech, czterech wysłuchiwaczy i odbierać od nich meldunki. Wszyscy co wieczór mieliby huk roboty i przypuszczam, że wkrótce ogłosiliby strajk, domagając się sześciogodzinnego dnia pracy. —

Ale ponieważ na to mnie nie stać, bo buty często miewam dziurawe, chodzę nadal sam i to już tylko w te okolice, gdzie jest mniej błota i wody. —

Dzięki więc temu, że województwo stoi na górze, miałem możność zobaczenia i usłyszenia „Żywego Dziennika", który, mając wszystko zadarmo, może sobie pozwolić na trzymanie się jak pijany płotu pierwszej środy miesiąca. —

Reklamy temu dwumiesięcznemu wesołemu bachorowi robić nie potrzebuję. I tak na więcej osób miejsca już niema.. Mam jednak wątpliwości, czy on, idąc w lata, nie zachowa nadal nawyczek swojego rozbawionego dzieciństwa, pozostając na zawsze rozkosznym dzieciakiem. Komplement „ach, jakie mądre i dowcipne dziecko!" do pewnego czasu jest tylko komplementem. —

Okazało się bowiem, że publiczność Żywego Dziennika żywo reaguje tylko na humor. Sprawy poważniejsze przechodzą bez echa.

A tymczasem dzięki tym właśnie sprawom drugi numer dziennika uważać należy nietylko za udany, ale za przewyższający o kilka pięter jego poziom sprzed miesiąca. —

Podniósł go tak wysoko najniższy z redaktorów: Juljan Przyboś. Wyjątkowy na Śląsku poeta, którego głosu nie możemy się niestety dosłuchać w chórze regjonalnego gdakania, który poprostu nie może przemówić w atmosferze tak niskiej kultury literackiej, jaka tu u nas panuje. Jego skromny szkic „W laboratorjum słowa", poruszający tak znane gdzieindziej sprawy, był tchnieniem ożywczem poezji, odskakiwał zdecydowanie od nastawionych wyłącznie na kawalarstwo innych artykułów. — Przypuszczam, że w pamięci większości słuchaczy pozostały tylko wywody na temat poetyckości słowa „cielęcina". To bowiem miało w sobie posmak humorystyczny. —

Drugim „dźwigarem" Żywego Dziennika okazał się Adam Bunsch w swoim bardzo dowcipnym i kulturalnym feljetonie o doli i niedoli portrecisty. —

Ponury ton, w jaki uderzył red. Rumun, odbije się echem zapewne w innym kącie „Kuźnicy", dlatego zmykam z pola i zwracam do humoru. —

Z przyjemnością skonstatowaliśmy duże przejęcie się niektórych redaktorów Żywego Dziennika „Kuźnicą". Bardzo nam miło, że potrafiliśmy im „sięgnąć do trzewi" i zainteresować ich naszem wołaniem o „wielkie reformy". Ostrzegamy tylko: w wielkich reformach mali ludzie albo się zgubią albo wyglądać będą jak karykatury. A dla wielu te nasze reformy okazać się mogą mocno za duże. —

Humor wprawdzie krzepi, ale po pierwszym grudnia nawet taka krzepa to „mucha", jakby powiedział Warszawiak. —

To też od afisza do afisza, od notatki do notatki zacząłem poszukiwać jakichś trwalszych umocnień. —

I znalazłem.

Czytam: „Dotychczas brak było Śląskowi ośrodka, któryby mógł służyć wymianie myśli i należycie postawionej dyskusji nad problemami kultury współczesnej." No, rzeczywiście, nawet nie wiedziałem, że z tego Śląska był taki biedaczek!

Ale że to napisało Towarzystwo Przyjaciół Nauk, dałem za wygraną, licząc na mędrca szkiełko i oko oraz takie świata koło itd. Przebolałem pełne poczucia własnego autorytetu przekreślenie dotychczasowych wysiłków — i poszedłem zdobywać podstawy dyskusji o kulturze współczesnej. — Szkoda, że nie było tam takich, którzy nie lubią „sięgania do trzewi". Zobaczyliby, jak się tego nie robi. Poprzez barykady cytatów i przytoczeń ani referenci ani dyskutanci nie mogli się jakoś dobrać do sedna sprawy. Powiedzieli rzeczy bardzo znane, a żadnych podstaw, na których możnaby oprzeć dyskusję nad problemami kulturalnemi współczesności, nie dali. Jeden referent mówił o niepokoju kulturalnym, o poczuciu obniżenia się poziomu kulturalno-obyczajowego i rozdźwięku pomiędzy postępem techniczno-kulturalnym a rozwojem moralnym osobowości. Doszedł w końcu do tego, że może istotnie ma sens hasło powrotu do średniowiecza, do jego pełni życia, o skłonności do czego świadczy nawrót do irracjonalizmu, ruchy religijne, przejęcie się młodego pokolenia ideałami moralnemi. —

Koreferent bardzo chwalił referenta i jeszcze go nieco prześcignął. Pierwszy sięgał do XIX wieku, drugi zaczął od renesansu i doszedł do postulatu wolności i ideału, jako podstaw, na których kultura może rozkwitać. —

Dyskutanci pochwalili to wszystko, podkadzili obficie referentom, wstrzyknęli wszystkim potężną dawkę martwoty i nudy, a potem poszli spać. —

A ja sobie powiedziałem, że tam jeszcze wrócę. Muszę się koniecznie dowiedzieć, jak można dyskutować na takich podstawach. —

Twardy jest orzech współczesności. Nie na stare profesorskie zęby. —

Wróciłem do domu i zacząłem szukać wokół punktu do zaczepienia myśli. Ale musiałem wyjść poza Śląsk. Wziąłem do ręki skromny zeszyt „Marchołta“ i poczułem się w innym świecie.

Tak! U nas tylko puste gadanie. Byle więcej, byle był ruch. —

Z TEATRU

„Kiedy kobieta kłamie“

Komedja w 3-ch aktach Wł. Fodora, — reżyserja M. Godlewskiego

W sztuce tej nie należy doszukiwać się komedji. Kto oczekiwał łatwej wesołości, do której da mu powód szereg zabawnych sytuacyj, opartych na kłamstwie kobiety, zawiódł się mocno. Fodor zagadnienia tytułowego nawet w najmniejszym stopniu nie potraktował humorystycznie, raczej poważnie, przyczem na głębokie t. zn. dramatyczne potraktowanie zdobyć się nie potrafił. —

Wogóle spotkamy tu kilka zaledwie epizodów komedjowych, skądinąd doskonałych, chociaż czasem nawet z akcją zupełnie niezespolonych. Taki np. epizod z p. Rozencwajg spełnia w sztuce wyłącznie rolę momentu retardacyjnego, który ma do reszty zdezorjentować detektywne domysły widza i zaostrzyć jego ciekawość. W postaciach tych epizodów skupia się wyłącznie cały humor tej sztuki.

Dla całości poszukiwać trzeba innego określenia. Znaleść je nietrudno. Jest to sceniczne pendant t. zw. romansu sensacyjnego czy kriminalnego. Tkwią w tej sztuce zupełnie wyraźnie cechy tego gatunku literackiego, i to bynajmniej nie cechy ujemne. — Bo chociaż nie interesuje nas tu przeżycie wewnętrzne bohatera, to napewno zaciekawi bieg doskonale zmontowanej i przeprowadzonej akcji. Dobrze przygotowany i znienacka postawiony w drugiej odsłonie przed widzem znak zapytania: kto zabił? nie przestanie go pasjonować do końca narówni z pytaniem, jak to się skończy? Pod tym względem sztuka jest bardzo dobrze skonstruowana i odpowiada w zupełności zasadniczym postulatom romansu kryminalnego. Tak też na nią reagowała publiczność. Np. obok mnie siedzący jegomość w piątym obrazie odsapnął z satysfakcją: „już się złapała!“ Zresztą zupełnie podobnie, jak tego typu powieść, sztuka ta nie nadaje się do oglądania po raz drugi, bo z chwilą, gdy wysłuchaliśmy jej do końca, przestaje nas interesować. Wiemy kto zabił i wiemy, jak się skończyło. Najwyżej pomyślimy jeszcze o tem, czy sąd da się tak samo łatwo nabrać, jak sprytny detektyw, który zaufał swojej znajomości duszy kobiecej. I dojdziemy do przekonania, że chyba nie. Ale autorowi nie o to przypuszczalnie chodziło. Dla niego obojętnem jest, czy sąd uwierzy zeznaniom Alwinoczy'ego, czy nie, najważniejsze jest to, że tak inteligentny, sprytny i wykształcony detektyw jak Jerzy Horwath, położył się na obydwie łopatki w zetknięciu z kobietą w tym momencie, gdy przez nią przemówiła prawda. —

Skomplikowane zagadnienie, kiedy kobieta kłamie, potraktował autor nie głęboko, ale w każdym razie interesująco. Pokazał nam kobietę, walczącą kłamstwem i zbrodnią w obronie najwyższej dla niej wartości — spokojnego i szczęśliwego życia. Klara Alwinoczy nurza się w radości życia, rozkoszuje się nią i upaja, a gdy stanie jej tu na przeszkodzie postać pierwszego męża, nie zawaha się przed zabójstwem, po którem wraca spokojna i zrównoważona do dawnego łożyska, pewna, że postąpiła słusznie i sprawiedliwie. — Chcąc jednak swe życie szczęśliwe uratować, musi kłamać na każdym kroku i przed wszystkimi. — Prawdy dowiaduje się od niej mąż dopiero w scenie ostatniej. Zawierają sprzysiężenie kłamstwa. Ale zrywa je Klara na widok poświęcenia męża, który, żeby ją uratować, sam się oskarżył, wyzyskując jej wyznania. — Oskarżył się z premedytacją, licząc na okoliczności łagodzące. I wtedy, gdy Klara po raz pierwszy powiedziała Horwathowi prawdę, on z uśmiechem wyższości oświadcza, że wyznania jej przyjąć nie może, bo wie doskonale, kiedy kłamie kobieta. Kłamie zawsze, gdy chce ratować kochanego mężczyznę. — Pewny siebie, zdolny, oczytany i bystry detektyw nie zrozumiał duszy kobiety, nie przeczuł, że wtedy ona właśnie mogła po raz pierwszy wybuchnąć prawdą. —

Tak postąpiłaby większość mężczyzn, którzy w stosunku do kłamstwa kobiety posługują się domysłami i prawidłowem wnioskowaniem, które w zetknięciu ze skomplikowaną psychiką kobiety zawsze zawodzi. —

W sumie sztuka okazuje się w swoim rodzaju doskonałą, posiadającą duże zalety sceniczne. — Najsłabszą jej stroną jest ckliwy i sztuczny sentymentalizm, jakim zabarwił autor uczucia małżonków Alwinoczych. Jest w nich tyle przesady i przesłodzonej sztuczności, że np. miłosnych wynurzeń w pierwszym obrazie słuchamy ze zdecydowaną ironją. Odczuwamy poza niemi przeraźliwą pustkę i jesteśmy przekonani, że po tej scenie małżonek zamiast do klubu pójdzie do kochanki, a udającą ból głowy żonę spotkamy za chwilę w garsonjerze kochanka. I zgóry wskutek tego przygotowani jesteśmy na nudę, którą rozwiewa dopiero następna odsłona. —

Cały zespół dał bez wyjątków grę wyrównaną i doskonałą. —

Z zebrania dyskusyjnego na temat: „O pojęcie ślązaka“

Zorganizowane w dniu 16 bm. przez Tow. Przyjaciół Nauk zebranie dyskusyjne na powyższy temat cieszyło się liczną frekwencją (około 80—100 osób), co dowodziło pewnego zaciekawienia tematem. —

Prelegent (Ks. prałat Dr. Szramek) postawił zagadnienie w ten sposób, że wymieniwszy szereg możliwych sprawdzianów określających pojęcie ślązaka, wyraził życzenie, aby dyskusja określiła, które z nich należy uważać za właściwe, aby potem, opierając się na zasadach loigcznego rozumowania, można było ściśle określić pojęcie ślązaka. — Jako sprawdzian, czy dane indywiduum jest ślązakiem, czy nie, wymienił prelegent pewne więzy, jakie go łączą z danem terytorjum, i to tak natury materjalnej, (pochodzenie z dziada pradziada, urodzenie, zamieszkanie, praca), jak też natury duchowej (więzy woli i uczucia). Tak określone cechy dawały pojęciu ślązaka stosunkowo szeroki zakres, przy mało bogatej treści. W dyskusji (nawiasem mówiąc dość chaotycznej) ujawniała się tendencja wzbogacenia treści przy ścieśnieniu zakresu pojęcia. A więc wymieniono dalsze cechy określające pojęcie ślązaka, jak antropologiczne, etnograficzne, folklorystyczne, kulturalne, językowe, narodowe, społeczne, wyznaniowe itp. Niektórzy mówcy szczególnie intensywnie akcentowali pogląd, że w zakres pojęcia Ślązaka może wchodzić jedynie ślązak-polak.

Rezultatem dyskusji był wcale miły bigosik pojęciowy, z którego jedno zdawało się wynikać jasno, że problem jest bardzo zawiły i trudny.

Jednak, gdyby już tak koniecznie zależało na określeniu pojęcia „Ślązak“, to trzebaby podnieść, że pojęcie to wiąże się z tytułu samej nazwy z pewnem terytorjum;

charakter zaś tej więzi określićby można (zgrubsza) tak, że osobnik, którego można objąć pojęciem ślązak, musi się przynajmniej urodzić na Śląsku (obojętne, czy polskim górnym lub cieszyńskim czy niemieckim, czy wreszcie czeskim) i co ważniejsza, musi się na Śląsku **wychować** (od dzieciństwa aż do wieku dojrzałego) tj. przebywać na Śląsku w tym okresie swego życia, kiedy człowiek jest najwięcej wrażliwy i najłatwiej wchłania i utrwala na całe życie pewne znamiona dotyczące mowy, zwyczajów, nawet pewnych (nabytych) cech charakteru. —

Zdaje mi się, że przy stosowaniu takiego ogólnego kryterjum możnaby z dużą dokładnością określić znaczną grupę osób, — które mieszczą się w pojęciu „Ślązak" i klasyfikację tę wykorzystać dla określenia jakichś charakterystycznych dla Ślązaka cech budowy fizycznej, cech charakteru, obyczajowych i kulturalnych. — Rozumie się, że cechy te będą bardzo ogólne i nieliczne, i że bogatszą treść zawierałoby pojęcie zacieśnione (jak życzyli sobie niektórzy mówcy), np. pojęcie: ślązak-polak, lub: ślązak-powstaniec, ale jeżeli mowa o „ślązaku", to pojęcie to musi obejmować także ślązaka-niemca, czy też ślązaka zniemczonego, lub zczechizowanego. (Fakt, że ktoś uległ germanizacji, a ktoś inny nie, niekoniecznie świadczy o innych cechach charakteru tych dwu osobników, a może być wynikiem różnicy w nasileniu fali germanizacyjnej. —)

Na marginesie tej dyskusji wypada dodać, że nie należałoby przywiązywać do określenia pojęcia „Ślązak" zbyt wielkiej wagi. Jakież bowiem z ustalenia faktu, że ktoś jest ślązakiem, można dla niego wyciągnąć ważne wnioski i wskazania życiowe? Czyżby chodziło tu o to, by takim „uwierzytelnionym" ślązakom ułatwić zdobywanie chleba? Chyba nie. —

Więc poco tu w mozolnych dociekaniach rozcinać włos na troje?

Żyjemy w czasach, które narzucają nam znacznie ważniejsze problemy, jak np.:

Jakie wyciągnąć wnioski i wskazania życiowe z faktu, że należymy wszyscy do gatunku, w zoologji zaszczytnie nazwanego „homo sapiens" i że żyjemy wspólnie na jednej planecie?

Oto jest pytanie.

Tadeusz Michejda.

Wydawnictwa Robotniczego Instytutu Oświaty i Kultury — Okręg Śląski

I.

P. Śmietana-Sokólski — Śląskie utwory sceniczne. —

Piękny cel i zadanie obrał sobie Robotniczy Instytut Oświaty i Kultury im. St. Żeromskiego, — zapoczątkowując wydawnictwo prac, których brak odczuwało się najbardziej.

Kwestja wydawnictw o charakterze oświatowym jest — na terenie Śląska — paląca. — To też numer pierwszy Wydawnictwa Robotniczego Instytutu Oświaty i Kultury pt. „Śląskie utwory sceniczne", pióra zamiłowanego teatrologa Piotra Śmietany-Sokólskiego spotkał się z uznaniem u oświatowców. „Śląskie utwory sceniczne" to nietylko podręcznik i katalog rozumowany, ale jest to zarazem pierwsza praca bibljograficzna utworów śląskich dramaturgów i komedjopisarzy. —

Praca ta obejmuje około 60 utworów scenicznych, dokładnie streszczonych, orjentujących oświatowców w jakości i ilości regjonalnych utworów scenicznych Śląska. —

Broszurka, wydana estetycznie, dostępna dla wszystkich (kosztuje tylko 50 groszy), winna się znaleźć w ręku każdego oświatowca. G.

II.

Mgr. Mieczysław Tobiasz: Piotr Niedurny — monografja — Katowice 1936. —

Autor miał oryginalne dążenie. Pragnął dać opracowanie monograficzne, ubrane w formę lekką i żywą, daleką od oschłości naukowych rozpraw. Zamiar ten bardziej godny podkreślenia i uznania, że opowiadanie to o prostym hutniku, bojowniku o polskość — ma dotrzeć do rąk najniższych warstw czytelników. Wydał je bowiem Robotniczy Instytut Oświaty i Kultury. To ma swój głęboki sens i znaczenie. Dać opracowanie tematu naprawdę wartościowe, a ująć je literacko tak, by dotarło do najmniej przygotowanego intelektualnie czytelnika — to idea wdzięczna, której realizacja w naszych warunkach szczególnie jest pożądana Nie można jednak powiedzieć, by autor opowieści o Piotrze Niedurnym cele te osiągnął. —

Nie dał monograficznego opracowania przedmiotu. Bo albo o Niedurnym można coś więcej powiedzieć, wtedy ta rzecz nie jest monografją, albo niczego tu już dodać nie można, wtedy Niedurny nie jest tematem dla monografji. Rozprawka p. Tobiasza jest anegdotycznem opowiadaniem, skoncentrowanem wokół kilku autentycznych, wyjętych z dokumentów i korespondencji oraz opartych na sprawozdaniach świadków szczegółach, które jednak mówią niewiele. — Postać Niedurnego nie zarysowuje się dokładnie i plastycznie. Charakterystyka ówczesnej sytuacji politycznej na Śląsku jest tak literacko-pobieżna, że rola Niedurnego nie ma poprostu tła, na którem mogłaby się uwydatnić. —

Zawiodła również na całej linji forma. Styl jest wymuszony i napuszysty. Autor gardzi prostotą i swobodnym tokiem mowy, sadzi się natomiast na efekty, które rażą swą pretensjonalnością. W pogoni za niemi zdarzają się nawet bardzo przykre lapsusy stylistyczne. Forma wygąda w tym wypadku nie na dążenie do uprzystępnienia książki, lecz na celowe rozwadnianie treści. —

Jednak opowiadanie p. Tobiasza o Piotrze Niedurnym, oddane do rąk robotnika, rolę swą spełni. Zapozna go z piękną postacią bohatera, który ze względu na swe pochodzenie i pracę będzie mu szczególnie bliski. A to są rzeczy ważne. Nie wystarcza opracowanie takie, które zadowoli smak filologów i historyków. Zdobycze badań szczegółowych przeszłości Śląska muszą przenikać do umysłów i serc tych ludzi, którzy za jego polskość walczyli. Ale przystępując do takiej pracy, błędów wyżej omówionych należałoby unikać. — W. - I.

Adres Redakcji i Administacji: Katowice, Drapacz Chmur 18. Telefon 307 41. P. K. O. Nr. 304.581.
Wydawca i redaktor naczelny: Paweł Musioł. Redaktor odpow.: Wilhelm Imioła, Katowice.
Abonament: rocznie 5,— zł, półrocznie 3,— zł, kwartalnie 1,50 zł, numer pojedynczy 0,50 zł.

Drukarnia Artystyczna, Katowice ul. Plebiscytowa 4.

Dwa Konkursy na utwory sceniczne

Chcąc zaradzić brakowi odpowiedniego repertuaru na teatr robotniczy i ludowy wogóle, Wydział Okręgowy Robotniczego Instytu Oświaty i Kultury im. Stefana Żeromskiego w Katowicach ogłasza dwa Konkursy na utwory sceniczne:

I. Konkurs na krótki jednoaktowy utwór, związany z życiem i pracą górnika

1. Utwór względnie utwory nagrodzone w tym Konkursie wejdą do publikacji z materjałami na urządzanie uroczystości (wieczornic, akademij) górniczych (szczególnie w dniu św. Barbary).
2. Charakteru utworów nie określa się bliżej. Chodzi jedynie o to, aby istotnie obrazowały życie, pracę i zwyczaje górnicze. Nie krępuje się również chcących wziąć udział w konkursie rodzajem literackim utworów. Może być: dramat, komedja, melodramat, misterjum. W używaniu gwary należy wystrzegać się naleciałości (germanizmów).
3. Nagrody: 1. zł 200, 2. zł 150, 3. zł. 100. Termin nadsyłania utworów: **31-go grudnia 1935 r.**

II. Konkurs na utwór sceniczny na teatr robotniczy i ludowy

1. Chodzi o utwór sceniczny, któryby odtwarzał życie robotnicze lub wiejskie. Forma winna być prosta, jasna, język zrozumiały.
2. Charakteru utworów również się bliżej nie określa. Pożądane są wszystkie gatunki dramatyczne (dramat, komedja, melodramat, misterjum), o nagrodzie zadecyduje wartość sceniczna i ideowa utworu. Utwory nagrodzone zostaną wydrukowane, nienagrodzone, a wyróżnione po porozumieniu się z autorami.
3. Nagrody: 1. zł 400, 2. zł 200, 3. zł 150. Termin nadsyłania na drugi konkurs: **31. marzec 1936 r.**
   Utwory tak do pierwszego, jak i drugiego konkursu muszą być oznaczone godłem. Kopertę. zawierającą nazwisko, imię i adres autora, zaklejoną i oznaczoną takim samym godłym co utwór należy przesłać wraz z utworem pod adres: **Sekretarjat Wydziału Okręgowego Robotniczego Instytutu Oświaty i Kultury im. Stefana Żeromskiego w Katowicach, ulica Plebiscytowa. nr 1.**

Sąd Konkursowy: Dr. Maksym. Hasiński, kier. ośw. pozaszk., Wład. Pawłowski, instr. ośw., prof. F. Sachse, instr. ośw., Ludwik Bożek, mgr. Paweł Musioł, prezes Wydz. Okr. R. I. O. K., wiz. St. Pappee, dr. Pobóg-Kielanowski, mgr. Z. Hierowski.

Wydział Okręgowy.